DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok I. | Berlin, niedziela, dnia 25 grudnia 1921 r. | Nr. 7.

Sierotka.

W świat idzie biedna sierotka
Z oczkami zapłakanemi —
Wiatr wieje i sypie śniegiem
Po zamarzniętej ziemi.
W świat idzie biedna sierotka
W pustkowie zatapia oczy,
Wtem przed nią pałac ogromny
Z gęstej wychyli się mroczy.

W oknach goreją światła,
Zamek, jak płomień, czerwony,
Łuna złocista bije
Na mury i bastjony.
W komnatach głośno rozbrzmiewa
Przesłodkie „W żłobie leży",
Sierota zdumiona staje
U pałacowych dźwierzy.
Chce dzwonić, nie sięgnie dzwonka,
Chce pukać, za słabe dłonie:
Nikt jej nie słyszy w zamku,
Co w świetle i pieśni tonie.
Gdzie? W którą stronę się udać?
W mgłach przed nią świat daleki!
Pod murem zamkowym spocznie
I zaśnie — może na wieki!?...

Wiatr wieje i śniegiem sypie —
Sierotka wytęża oczy:
U stóp zamkowych chatynka
Gubi się w gęstej mroczy.
W okienku światło przygasa,
Przemilkła kolęda słodka:
„Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,
Jać biedna jestem sierotka!"
Otwarli jej drzwi sosnowe,
Wpuścili do niskiej chaty.
„Ogrzej się, dziecię, przy ogniu,
Zjedz kąsek niebogaty!"
Sierotka siadła przy ogniu.
O, jaki los szczęśliwy!
I kromkę ma, a w oku
Dzieją się cuda i dziwy:

W Izbie, gdzie knotek przygasa,
Gdzie głosu na pieśń na stanie,
Światłość się wielka rozlewa
I setne słychać granie.
W białych, jak śnieg, sukienkach
Wkraczają aniołowie,
Skrzypki im błyszczą w dłoni,
Korony jasne na głowie.
Kolędy przecudowne
W nadziemskie płyną raje,
A w środku tego orszaku
Sam Chrystus biały wstaje.
Rzucił niebieskie progi,
Kościoły rzucił złote,
By podziękować biedakom,
Że w dom przyjęli sierotę.

Jan Kasprowicz.

WILJA.

W chałupie Błażeja Szczypty panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj: te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze; widać jednak z powszechnej „uwijaczki", z radosnego oczekiwania, malującego się na twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki czynią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia...

— Tereś, — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami lnianej koszuli miesiła ciasto w nieckach — umyj sobie ręce i zabierz się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś karpiele (rodzaj brukwi) z piwnicy, obierz je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

— Dyć (przecież) jeszcze czas... — zauważyła Teresia, nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiła patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kiedyż się uwarzy?... A groch trzeba długo gotować, aby zawrzał...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, opłókała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może prędzej się ruszy... — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to będzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołacze będą. Nie wiesz o tem? Dziś wija...

— To nic jeść nie będziemy, bo mama powiedziała Teresi, że dopiero na wieczór ugotuje...

— Na wilję... — oświadczyła matka.

— To dopiero wieczorem wilja?... — pytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilja, ale je się dopiero wieczorem...

— Na wieczór!... — szepnęli smutno chłopcy i spojrzeli ku garnkom, stojącym na nalepie (przypiecek.)

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupania kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, raźno, wartko...

Niebawem wrócił także Błażej. Zmarzł, jak sęk, bił kierpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

— Mróz, jak sto...

— Cyt!... — pogroziła mu żona — wilja dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószysz; w izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczyma, jeszcze raz kierpcem jęknął o ziemię i pognał do stajni wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop.

— Tereska! — przypomniała sobie matka — lećno za ojcem, niech zrzuci drobnego siana...

— Na stół, prawda!... — klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

— Niech będzie pochwalony!... rozległo się w sieni.

— Na wieki wieków! — wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.

— A, to ty, Jagnieś!... (Agnieszka.) Pójdźże dalej, ale tu dym...

— A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... — odpowiedziała i przypadła do nóg gospodyni. — O, moja gosposiczko!

— Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

— Pytajcie się, dokąd idę, bo sama nie wiem. U ludzi wilja, a u mnie zawsze post...

— No! Siądźże, siądź, nie narzekaj — mówiła łagodnie Błażejowa. — Zostaniesz na wilję tutaj. Niedużo nas, to się zmieścisz.

— O, moja gosposiczko!... — drugi raz pochyliła się do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięki. Ona, biedna komornica, (kobieta, najmem mieszkająca w chacie obcej, nie posiadająca własnej chaty), raz będzie na porządnej wilji", w cieple, przy pełnych miskach...

Zdumiona nieoczekiwanym szczęściem siadła nieśmiało na ławie.

— Cóż u ludzi słychać? — zapytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiedziała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze. Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi, u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wilję: każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może...

— Rusza się, rusza! — wołał wesoło mały Józuś, który już wpadł z idebki i wskazywał palcami na niecki.

Jagnieszka podniosła się z ławy.

— Bez uroku! Piękne ciasto. Będą darzyć się (udadzą się) kołacze.

— Oh, już czas, a ja się zagadałam! — karciła sama siebie gospodyni. Zdjęła z pieca miski i przyklaskiwała z dumą ciasto.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Tereska. Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, (gospodarza), pytając nieśmiało, czy mu nie będzie markotno, że ją gaździna zatrzymała na wilję... Chłop roześmiał się dobrodusznie. Bardzo więc rada. pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, aby jak najmniej miejsca zajmować.

Tereska zawinęła się koło nalepy, podnieciła ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą. Matka rozklaskiwała placki, kładąc na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły. Kołacze rumieniły się w piecowym żarze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało im się bicie nie dostało, bo podlazły matce pod łopatę.

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy.

Mroczyło się powoli... Nadchodził wigilijny wieczór.

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite warzywo z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono w izdebce stół drobnem sianem i przykryto lnianą „paruchą".

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękali na ziemi.

— Pobłogosław, panie, te dary... — mowił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim.

Obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła jadło i zajęła swe miejsce, poczęli łamać się opłatkiem. Łamali się naprzemian wszyscy po dwa, po trzy razy. Komornica łzy miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego. Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać do drugiej wilji w szczęściu... w zgodzie... — pocałował krucze włosy żony.

Komornica nażyczyć się nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się głodni i wyławiali drewnianemi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie. Potem szła kapusta z grochem i suszonemi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkiem mlekiem.

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata — mówił Błażej. — Niech zje i niech i ono ma wilję, jak się patrzy...

Po wieczerzy wniósł ojciec choinkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

I wieczór prędko zleciał. Przed północkiem wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty, jak kołek, nie mogąc nawet palców rozprostować, w których dzierżył zadymioną latarkę.

— Idziecie na jutrzenkę?

— Idziemy...

— To się zbierzcie.

Wnet się zebrali i poszli na jutrznię.

Władysław Orkan.

Wieś polska.

Wieś polska przetrwała wieki. Kto dzisiaj patrzy na wieniec chat niskich, słomą krytych, na gospodarski dobytek po stajniach, podwórkach, stodołach, na pastuszka z fujarką, na dymy, co siną wstęgą kładą się ponad strzechy w czasie wieczerzy i śniadania, ten niechaj wie, że tak samo było na wsi u nas w Polsce przed laty stu i dwustu, tak samo prawie przed lat tysiącem.

Nie, żeby chaty były te same i ludzie ci sami.

Chaty czas niszczył i ku ziemi chylił, czasem je wojna rozrzucała, że i śladu nie zostawało po ludzkiej siedzibie i ogień trawił, zabierała woda. Ludzie kładli się na spoczynek wieczny, na Bożej roli cmentarza wiejskiego.

Ale ci, którzy potem przychodzili, synowie po ojcach, takie same chaty wznosili, tak samo pługiem ziemię orali, w takie same się szaty stroili.

Z ojca na syna wiara przechodziła i zwyczaj — i stąd wieś, chociaż w niej chaty nowe i ludzie młodzi, starą jest.

Dlatego też we wsi wśród ludu zachowało się w pierwotnej czystości to wszystko, co nas odróżnia od innych narodów, co sprawia, że dziś nie jesteśmy Niemcami, Francuzami, ani Anglikami, ale Polakami i i takimi zostaniemy.

Od chwili, gdy z wielkiej rodziny słowiańskiej wyłonił się naród polski, tyle czasu upłynęło, że słuch wszelki o tem zaginął. I dziś trudnoby było wiedzieć, co było wówczas, gdyby wieś nie wyjaśniała nam, — w części przynajmniej — jakto ludzie żyli za dawnych czasów, u nas w kraju słowiańskim.

Człowiek żyć musiał, szukał więc pożywienia, jadła i napoju.

Osiadali ludzie tam, gdzie komu najłatwiej było się wyżywić. Jedni w lasach, nad rzekami drudzy, ale najwięcej na roli urodzajnej, która przy pracy i skrzętności plon dawała obfity.

Sam jeden człowiek jednak żyć nie może.

Rodzina rozrasta się, wspólne niebezpieczeństwo łączy ludzi ku wspólnej obronie. Więc chatę budował syn koło ojca, brat koło brata, czasem obcego przyjęto przybysza, a najstarszy nad nimi był ten, który pierwszy przyszedł i osiadł w pewnem miejscu.

Jeżeli ten najstarszy z rodu nazywał się naprzykład Radwan, to mówiono, że w całej osadzie mieszkają Radwanowice, to jest synowie Radwana, i stąd pochodziła nazwa wsi.

Mówiono też czasami, że tam oto jest Jordanów dwór, i stąd rodziły się nazwy takie, jak Jordanów, Kulików, Bawórów, Janów, Magierów i inne.

Niekiedy znowu książę osadzał koło dworu swego i grodu rzemieślników, którzy mu mieli dostarczać różnych wyrobów.

Powstawały stąd wsi takie, jak Piekary, Rybniki i inne.

Najczęściej jednak nazywały się te osady według tego, co w nich na pierwszy rzut oka najbardziej uderzało, a więc Dąbrowa od lasu dębowego, Dolina, Gaje, Glińsko i tak dalej.

Bardzo często tedy sama nazwa, jeżeli się nad nią dobrze zastanowić, poda w przybliżeniu, skąd jaka wieś powstała i jaki był jej początek.

Tak samo i rozkład chałup we wsiach dzisiejszych daje wyobrażenie, jakie to było życie w dawnych czasach.

Pierwotnie bowiem dla lepszej obrony przed napadem nieprzyjacielskim budowano chaty wkrąg dokoła wielkiego placu w ten sposób, że za każdym domem leżało pole, do niego należące. Jeżeli też spotka się dziś taką wieś, podobną trochę do gwiazdy, z pustym placem w środku, z chatami dokoła tego placu i z zagonami, jakby promienie, na wszystkie strony, wówczas śmiało rzec można, że osada ta pochodzi jeszcze z prastarych czasów słowiańskich.

Ale bywały także i w tych czasach wsi podłużne, z ulicą biegnącą pośrodku między dwoma szeregami domów.

Koło każdego domu był kawałek pola; kiedy zaś pole to nie wystarczało, musiał właściciel karczować las i stwarzać sobie nowe zagony.

Dlatego też wsi takie są bardzo nieregularne, grunta jednego właściciela rozrzucone bywają po różnych stronach.

Wielka stąd była niewygoda i liczne utrudnienia w uprawie roli.

Zresztą i samych wsi nie było wiele, bo i ludzi mniej było na świecie.

Olbrzymie obszary leżały pustką, a ponieważ wszystko, kraj cały należał do króla lub księcia, więc rozdawał on zasłużonym mężom bardzo wiele ziemi, a resztę sam trzymał, mając dochody stąd na potrzeby dworu i państwa.

Dochody te były tem większe, im więcej ludzi ziemię uprawiało i składało z niej daniny.

Dlatego też król i ci, co otrzymali od niego wielkie a puste obszary, starali się o zakładanie na pustkowiach coraz to nowych wsi.

A ponieważ ludności u nas tyle nie było, ile potrzebowano dla uprawy tak wielkich obszarów, sprowadzano więc z Niemiec ludzi, dając im ziemię i liczne ułatwienia.

Szły przez długie czasy zastępy Niemców do Polski, szukając w niej chleba i łatwiejszego wyżywienia. Aby zwabić jeszcze więcej ludu, dawali im królowie różne przywileje, a wymagając tylko niewielkiego podatku, pozwalali przybyszom rządzić się tym samym prawem, do którego byli przywyczajeni u siebie.

Niemcy budowali wsi tak samo, jak budowano w ich ojczyźnie. Wytyczano więc długą ulicę, a wzdłuż niej z jednej lub z obu stron wznosiły się domy. Od domów biegły wydłużone łany. W końcu lub w środku wsi ulica rozszerzała się i tam stawał kościół, a w pobliżu kramy, gdzie piekarz, szewc, kowal i inni rzemieślnicy wykonywali swoje rzemiosło.

Franciszek Jaworski.

MYŚLI.

Zawżdy mamy na się nieprzyjaciela srogiego, fortunę, która z żadnym człowiekiem przymierza statecznie nie dzierży. Aby je też z kim nastateczniej postanowiła i nawiętszą łaskę ukazała, patrzajże, długoli to trwa: kiedy się nalepiej o jej łasce a o jej przymierzu ubezpieczysz, alić ona, jako Moskwicin albo Tatarzyn, tuż wnet za posłem wojsko wyprawi, ani wzwiesz, z której cię strony chluśnie. A tak, wiedząc pewnie o tak chytrym a czujnym nieprzyjacielu, zaprawdę mielibychmy pilną straż a pilne szpiegi i pewne hetmany około siebie mieć. A któż hetmanem? — Rozum. A któż na straży? — Rozmysł. A któż szpiegiem? — Czujność a baczność. A przedsię się nic nie lękać; a przypadnieli co niewiadomie, więc się bronić a szkody wetować. A czemże się bronić? — Roztropną stałością. A czemże sobie szkody nagrodzić? — Uprzejmą nadzieją. Tedy i taki nieprzyjaciel nic nam straszen nigdy nie będzie, a jeśli nieobacznie przypadnie a szkodę uczyni, żałości nam wielkiej uczynić nie może, jeśli się hetmana a szpiegów radzić będziemy, a iż to uważymy, iż się nam szkody nasze wrychle nagrodzić mogą.

Mikołaj Rej
Zwierciadło (1568)

Rozmaitości.

Ostatni uczeń Chopina. Jeden z feljetonistów paryskich odkrył w Paryżu, na poddaszu sześciopiętrowego domu, staruszka muzyka, nazwiskiem Peru, który, jak się okazuje, jest chyba już ostatnim żyjącym uczniem Chopina.

Starzec, liczący 91 lat, uprawia dotychczas jeszcze muzykę, firma bowiem Playela udzieliła mu, ze względu na pamięć Chopina, bezpłatnie fortepjanu, który stoi w jego izdebce.

O stosunku do genjalnego muzyka polskiego opowiada Peru, co następuje:

„Gdym liczył lat osiemnaście, byłem uczniem słynnego Kalkbrennera. Pewnego dnia odwiedził mego nauczyciela Chopin. Kalkbrenner przedstawił mnie jako „nieznośnego ucznia", gdyż wciąż chciałem grać na swój sposób. Chopin zaprosił mnie, bym zagrał. Zagrałem dwa jego nokturny. „Tak, tak — rzekł, gdym skończył — odwiedź mnie kiedy." Poszedłem i oto w ciągu dwu lat udzielał mi rad swoich. Chopin był człowiekiem szczególnym. Natura jego składała się z samych sprzeczności. Mieszkał marnie i nie potrafił utrzymać nawet dnia pieniędzy zarobionych, ale dzienniki opowiadały o wytwornych jego laskach i o jego rękawiczkach, które stały się modne pod nazwą: „Rękawiczki, à la Chopin". Artysta genjalny żadnego z utworów swych nie zagrał dwa razy w ten sam sposób. Gdym pewnego razu grał przed leżącym na sofie, zerwał się nagle i zawołał gniewnie: „Kto cię grać nauczył! Wstawaj!" — i zasiadł na moim miejscu przy fortepjanie. Instrument zaczął śpiewać, łkać, szeptać. Słuchałem, zapierając dech, zapominając o wszystkiem. Chopin grał z godzinę, poczem wstał zlany potem, aby zdenerwowany, ze spuszczonemi powiekami i bijącemi skroniami, paść na sofę. Takim był do śmierci, o której nie wiedział, wciąż bowiem wierzył, że wyzdrowieje, że powróci do działalności..."

Takich wspomnień — pisze feljetonista paryski — posiada ostatni uczeń Chopina bardzo dużo.

Ciche bohaterstwo. W Południowej Ameryce, w Brazylji, w bogatym stanie Parana dość liczne są osady Polaków, którzy ongi poszli za morze szukać chleba. Wskrzeszono do nowego życia Macierz Polska nie może ich jeszcze do siebie przygarnąć z powrotem dla braku mieszkań i pracy w kraju.

Szeregi tych dawnych wychodźców znanych nam z barwnych opisów „p. Balcera" Konopnickiej powiększyły obecnie jeszcze dziesiątki tysięcy uchodźców wojennych, zapędzonych przez Moskali z byłej Kongresówki i z Kresów wschodnich na Sybir w 1915 r. Wobec niemożliwości powrotu do Polski wywędrowało w tym roku z Sybiru przez port Władywostok około sto tysięcy Polaków do Południowej Ameryki.

W polskich kolonjach brazylijskich już od 20 przeszło lat pracują jako misjonarki Zakonnice ze Zgromadzenia św. Wincentego a Paulo. Wskutek napływu nowej fali osadników praca misyjna tamże ogromnie się wzmogła; trzeba było zasilić kadry naszych pracownic misyjnych. Ochotniczek nie zabrakło wśród naszych wielkopolskich i pomorskich Szarytek.

Za zgodą wizytatorki S-try Józefy Prądzyńskiej z Chełmna wyjechały nowe misjonarki w liczbie siedmiu z Poznania do Paryża. Po krótkim pobycie w głównym domu Zgromadzenia Szarytek w Paryżu, podążyły do Bordeaux i tam wsiadły na statek „Samara", należący do Towarzystwa Sud-Atlantique, by na drugiej półkuli świata, zdala od od swoich najbliższych, pracować dla dziatwy i młodzieży polskiej, uczyć ją w szkołach pacierza i języka polskiego i wychowywać ją w miłości Boga i Ojczyzny. Nazwiska tych cichych bohaterek poświęcenia warto podać do wiadomości społeczeństwu naszemu. Pojechały więc na misje polskie do Parany: S-tra Czesława Paul ze Świecia, S-tra Marta Kulerska ze szpitala Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, S-tra Józefa Marciniak z Wolsztyna, S-tra Bronisława Olek z domu św. Józefa w Poznaniu, S-tra Walentyna Perz ze szpitala miejskiego w Poznaniu, S-tra Marja Skotarek ze Świecia, S-tra Natalja Barczewska z domu Sierót na Środce w Poznaniu.

Góral na egzaminie.

Góral z pod Tatr przyjechał do Tarnowa po syna swego, kleryka i trafił właśnie na egzamin. Ksiądz W. powiada do górala: Ojcze, położcie piątkę (10 koron) ja drugą i będą was pytał: jak odpowiecie, to piątkę zyskacie, a jak nie, to przegracie. Góral się zgodził... Ksiądz pyta: Jak się nazywał świekr Mojżesza? — Je... Jetro — —odpowiada dobrze góral, a ośmielony kładzie znowu piątkę i mówi: Jegomość, teraz jo będę was pytoł: jak się mój swiekr nazywał?? — A czy ja twego świekra znał? — A ja Mojżeszowego znał? — woła góral — a wiem jak się nazywo — ta mocież metrykę mego Franka, bo psed womi lezy. Gdzieś się podziała wasza uczoność? Śmiech ogromny, góral zgarnąwszy piątki pokłonił się i ze zwykłem: Niech będzie pochwalony... pożegnał wszystkich.

Humor i satyra.

Ukarany.

— Słyszałeś? Stacha, za pocałowanie panny Bronisławy w policzek, skazano na trzy miesiące kozy. To fujara.

— Wcale mała kara... Małe za to samo okazano niegdyś dożywotnie ciężkie... małżeństwo!

Pytanie w odpowiedzi, na pytanie.

Pan de Chateauneuf, jako dziesięcioletni chłopiec, został przedstawiony jakiemuś biskupowi, który, rozmawiając z nim, dobrotliwie zapytał:

— Powiedz mi, mój mały przyjacielu, gdzie jest Pan Bóg to ci dam pomarańczę.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie Go niema, to dam Waszej Ekscelencji dwie pomarańcze — odrzekł chłopczyna.

Pewny siebie.

— Ach! doktorze, ja się tak boję, by mnie żywcem nie pogrzebano...

— O! niech pani będzie najzupełniej spokojną, jeszcze żadnemu z moich pacjentów to się nie zdarzyło.

Posłuszny lokaj.

— Janie, obudź mnie jutro rano o piątej!

— A no dobrze! Niech pan tylko śmignie raniutko trzewikiem o drzwi, ino mocno — to przyjdę i zaraz obudzę.

Dobry lekarz.

— Taki młody lekarz, a taki zdolny! Powiada, że mu jeszcze żaden pacjent nie umarł.

— To prawda... ale też on dotąd jeszcze nie miał pacjentów wcale!